№ 13 WARSZAWA, DNIA 29 MARCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

Pietrek, słuchając, mienił się na twarzy i ukradkiem spojrzał na towarzyszy. Stach cały się zapłonił, Hieronim zaciął usta, a oczy mu błyskały jak stal z pod spuszczonych rzęs.

— A jużci! — rzekł drugi, — powiadali, że jest między nimi jeden panicz ze Sulisławowa.

Wszyscy patrzyli na żaków, czekając, co powiedzą. Pietrek potrząsnął głową, i dalej wypierać się śmiało, jak święty Piotr.

— To nie my! Nie z Sulisławowa idziem, z innej strony.

Ale pani nie bardzo się tem zajmowała, czy to ci sami, czy inni.

— Podwieziem was,—rzekła,—dość ich z nami jedzie kręciwąsów, darmozjadów, niech się choć tym pacholętom ubogim te podwody jako przysłużą po drodze.

— Zła to sprawa, jejmość—rzekł starszy dworzanin,—jeśli umykają, coś spsociwszy.

Żacy, nie dając po sobie nic poznać; jak ich to bardzo obchodzi, czekali, co odpowie pani. Szczęściem pani już się uparła przy swojem, zwłaszcza, że był Wielki Tydzień i pełna była chęci uczynków miłosiernych.

— Co mi waść prawisz, — odrzekła, strzepnąwszy ręką,—ubogie oto scholarze idą na naukę. Bój się wasze Boga, każ-

emu w zęby tak zaglądać, jako koniowi emu na jarmarku. Pojadą z nami. ch ich kucharz weźmie na swoją podlę.

Wejście do Krakowa.

Słońce zachodziło hen za Wisłą, za pagórki pociemniałe, w niebie jasno-złotem, gdy dwór, przy którym trzymali się żacy z Hieronimem, dojeżdżał do stolicy wielkiego miasta, starodawnego i słynnego wszędy Krakowa. Jak złota korona świeciły niezliczone wieże w cichem powietrzu, smukłe, górne, wystrzelając ponad miasto słoczone w dole, za murami. Te mury, te baszty grube, bramy okazałe, sklepione pod wieżycami, coraz wyraźniej występowały, im bardziej się zbliżali.

Wjechali Sławkowską bramą. Wozy lkiem ulicy, taki ledwie się wlokły środ mieszczanie, był ścisk. Ludzi pełno. Tu żołnierz, mieszczki, chłopi z okolicy nskim stroju, tu kupiec obcy w cudzoziem konno jakiś tam przeciska się w tłoku niec z dajeździec zdrożony, może posła albo polekich województw północnych onnych, łudniowych? Przejeżdża kupka k Pańska, zbrojnych - kto wie, gdzie jadą? e kozłocona kolebka zaprzężona w sześć nie—może do króla na zamek? ny

A cóż dopiero, gdy spojrzeć na domy spiętrzone, na owe godła, co je mieszczanie radzi nad drzwiami wyobrażają: więc tu lew, tam baran, ówdzie dzwon, albo lilje—gdzieniegdzie mały święty z kamienia, a przed nim lampka i wianuszek kwiatów. Do sklepów tłoczą się ludzie: krzyk, gwar wszędzie.

Żacy patrzyli, oglądali się, ile im oczu starczyło. Hieronim tak zatopił się w widowisku, że ocknął się jak ze snu, gdy go ktoś począł usilnie targać za nogę. Spojrzał: to Pietrek i Stach, już na ziemi, szli przy wozie. Kucharz, z którym się już pożegnali, przebierał w sakwach i wyciągnął kawał wędzonki i sporą kiełbasę, a potem chleba pół bochenka. Podawał to żakom z wozu, oni brali i dziękowali.

Hieronim zsunął się z wozu i we trzech zapuścili się w tłum.

Byli wreszcie w Krakowie! Teraz świat stał przed nimi otworem. Wszystkim trzem biło serce, gdy szli pierwszy raz krakowską ulicą.

Skręcili w pierwszą boczną uliczkę, by się wydobyć z tłumu i rozejrzeć, co robić.

— Trzeba spytać, gdzie tu jest bursa Wszystkich Świętych, — rzekł Stach. — Tam Litwa mieszkać zwykła.

Właśnie przechodził jakiś mały żak ulicą, nucąc pod nosem, roztargniony:

Jezus Judasza przedał za pieniądze nędzne,
Bóg Ojciec syna wydał na zbawienie duszne...

— Na wspak śpiewa,—rzekł półgłosem Stach.

Żaczek spojrzał na nich.

— Jakże to? — rzekł Pietrek, — u was Jezus Judasza sprzedał?

Żaczek cały się zapłonił, aż pod włosy, które miał jak len jasne, i uśmiechnął się, nie wiedząc na razie co odpowiedzieć.

— Gdzie tu jest bursa Wszystkich Świętych?—spytał Pietrek.

— Wyście obcy? — spytał żaczek, nabierając śmiałości.

— Obcy. Powiedź nas, bo nie znamy tu miasta.

Chłopiec zawrócił i poszli.

— Ja już znam,—rzekł.—Ale zrazu tom ciągle jeno błądził.

— Tyś z Litwy?—spytał Stach.

— Z Litwy, — odpowiedział, cały się rumieniąc.

— I ja,—rzekł Stach.—A skądeś?

— Z Pienian, w wileńskiej diecezji.

— Ja z Brześcia. Tośmy rodacy. Jako cię zwą?

— Jerzy.

— Jakże ci tu, Jerzy, się widzi?—spytał Pietrek.—Trudno się uczyć?

— Cóż, — rzekł mały, — jak na naukę posłali? Trzeba, trudno czy nie.

— A w bursie jak?

— W bursie? Są dobrzy, są i źli. Czasem pobiją...

— Mówią, że jeno po łacinie gadać rozkazują?

— A tak, bardzo srogo. Ale jak wyjdziem na miasto, albo wieczorem, to już każdy po swojemu mówi.

— Znasz ty tę bursę Wszystkich Świętych?

— Jakże?—zadziwił się.—Przecieć tam mieszkam.

— A!—ucieszył się Stach,—mów, jakie tam porządki? Jestli miejsce jeszcze? Przyjmą nas.

— Miejsce jest—rzekł mały,—ale nie przyjmą was, nim nie wpiszecie się u rektora. Potem dopiero.

— To pocóż tam iść?—spytał Pietrek, zatrzymując się.

— Senior dobry,— odparł Jerzy, spróbować nie zawadzi. Przyjmie was może na tę noc, a jutro się zapiszecie...

Tymczasem minęli parę ulic.

— Już zaraz,—rzekł Jerzy. - Jeno na Mazurów nic nie mówcie, bo senior jest Mazur.

Nagle stanął, nasłuchując.

— Ej, czy to aby nie nasi kędyś się biją?

Słychać było zmieszaną wrzawę kłótni gdzieś w innej ulicy.

Jerzy puścił się biegiem, a z nim nowi żacy. Zawrócili w jakąś boczną uliczkę, całą w płotach, z za których wyglądały zielone drzewa ogrodów. Tu i owdzie stał dom murowany tuż przy chodniku, a z okien wyglądały głowy zaciekawionych bójką mieszkańców.

Bili się z krzykiem i wrzaskiem zmieszaną kupą scholarze z jakimiś pachołkami, okazałymi sługami, jakiegoś możnego pana lub bogatego księdza.

Nowoprzybyli wpadli w bitwę, mały Jerzy rzucił się jak kogutek, który wielkiemu psu do oczu skacze. Stach zaraz wziął się za bary z pachołkiem jakimś, dyszącym jak zły niedźwiedź, czerwonym jak rak. Rozerwali ich inni bijący się; znów się dopadli. Pietrek nie miał ochoty bić się, trzymał się z kraja i tylko, gdy który pachołek nadarzył się pod rękę, walił po nim. Hieronim za to rzucił się jak w rozhukane stado, które trzeba poskromić: tłukł, jak popadło, na prawo i lewo, sam obrywając najgorsze razy. Wnet był na czele i wszyscy go widzieli. Obok niego drugi scholarz, wyższy, smukły, bił się najdzielniej. Przytem żartował i dogadywał. Gdy spostrzegł, jak Hieronim dobrze staje, coraz go chwalił:

— Dobrze! Dobrze! Tęgo po nich!

Naraz Hieronim uczuł, że go raniono w rękę. Cofnął się z bitwy, bo mu drętwiał łokieć.

W tej chwili nadbiegło dwu nowych pachołków, wpadli między bijących się, poczęli ich rozdzielać, tłukąc na prawo i lewo.

Już Hieronim chciał rzucić się na nich, gdy bitwa się rozsypała: scholarze rozbiegli się, ich przeciwnicy wycofywali się roztropnie, skromną gromadką podążając do wylotu ulicy.

— Miejskie pachołki!—wołali żacy, rozbiegając się.

Miejscy pachołkowie tymczasem dopadli paru żaków, i to co mniejszych, i trzęśli ich porządnie, napominając:

— A spokojnie! A rozchodzić się!

— Puszczajcie!—rzucił się na nich ów

co był przedtem obok Hieronima.

Zaraz i inni zbiegli się na ratunek kolegów.

— To tak porządku w mieście pilnujecie?—krzyczał wódz burdy. — Tamci nas wyzywają, a wy na nas napadacie, a ich puszczacie?

— Oni zaczynają!—wtórzyli żacy.

— Ale! — odezwał się któryś z cofających się sług pańskich.—myśmy ta wam bić się nie radzili!

Hieronimowi krew lepiła się na ręce, ściekając między palcami. Spostrzegł to ów przywódca żaków, i pociągając go na środek ulicy zawołał:

— Do krwie ranion! Rozbójniki! Zapłacicie dobrze! Łotry!

— To nic,—rzekł Hieronim, broniąc mu się.

— Cicho jeno!—rozkazał mu tamten.—O nich idzie, nie o ciebie.

— Ranion! Ranion!—przedrzeźniał któryś z pańskich sług.—Chudzina! A nastawia się sam, byle co złapać i zaraz piszczeć: porąbali mię! mamo!

— Zbóje!—odpowiedział tamten z chłodną pogardą. — Jutro u rektora inaczej zaśpiewacie.

— A bez tego to się nika, nigdy nie obejdzie, — rzekł jeden z miejskich pachołków, ocierając ręką czoło i pokazując na scholarza, trzymającego Hieronima za rękę.

— Lepiejby dla was było, byście nie tak często z nami się spotykali, — rzekł ów.—Dość mamy bijatyki!—Teraz by nas najlżej kto .ruszył, wnet do rektora będziem podawali.

Rozchodzili się wszyscy.

— Ci najgorsi, — mówili żacy między sobą.—To ich pan tak ich szczuje.

— Jaki pan, taki kram.

— Księże sługusy!

— Jutro do rektora podasz na nich; jak się zwiesz?

— Hieronim.

— Jutro podamy rano skargę. Rektor już im pokaże, scholarzy rąbać!

— A ty sam Samuelu wołałeś: bez broni! rękami! - rzekł jeden.

— Ba,—odrzekł dowódca burdy,—bym był wiedział! Ktoby zgadł, że takie zbóje? Widzi, że my się rękami bijemy, a sam, łotr, nóż wyciąga. No, do drugiego razu! O zbóje, zbóje!

— Oni zawsze!—rzekł Jerzy z siłą.

— Ale rektor im zada bobu! Poskarżysz się, zobaczymy.

— Jakże się poskarżę, kiedym nie żak?—rzekł Hieronim.

— Tyś nie żak? — zawołali scholarze jeden przez drugiego, zdumieni.

— On jeszcze nie wpisany—wyjaśniał Pietrek—jako i my. Dzisiajeśmy przybyli, we trzech.

— Ale się zapiszesz wnet?—zapytał Samuel.

Hieronim ruszył ramionami.

— Nie wiem.

— Nie naukę tuście przyszli?

— Na naukę,—odparł Stach.

— Bacz,—powiedział Samuel,—jak się wszystko składa. Te pachołki najgorsze są z całego miasta. A ich pan, ksiądz Czarnkowski, sąsiaduje ze szkołą Wszystskich Świętych.

(D. c. n.).





Marzec w życiu ptaków.

Ciąg dalszy

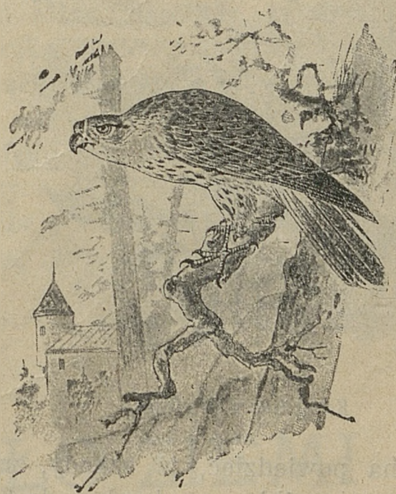
Jest on mieszkańcem górzystych okolic, gdzie buduje sobie gniazdko w otworach skalnych; na równinie gnieździ się w budowlach wysokich, starych wieżach i t. p. wyniosłych miejscach; bardzo ruchliwy i wesoły ptaszek.

Przybył też jeszcze z południa gość jeden: ten choć ma obyczaje drapieżne, chętnie jest przez ludzi widziany, zjada bowiem taką masę polnych myszy, chrząszczy i koników polnych, że można mu darować, jeśli czasem i młodego ptaszka pochwyci.

Jest to pustułka, ptak ładny, trochę mniejszy od krogulca; grzbiet i skrzydła ma rdzawe, czarno nakrapiane, głowę, kark i ogon popielate, na końcu ogona czarną pręgę.

Po niejakim czasie dopiero zabiera się do budowy gniazda na drzewach, rosnących na brzegu lasów lub w środku pola, czy łąki, aby swój teren myśliwski mieć w pobliżu. Lubi korzystać z gotowych dziupli, starych gniazd innych ptaków i nie wykończa swojego tak starannie, jak inne ptaki. W locie roztacza ogon nakształt wachlarza; głowa mała, spłaszczona, oczy bystre i głęboko osadzone, dziób krótki, mocno zagięty, czynią ją podobną do małego orła.

Oprócz jednak tych gości, którzy nas porzucą z nastaniem chłodnej pory, mamy gromadkę, która przy nas przetrwawszy zimę, nie osiedla się jeszcze w polu i lesie, czekając aż znajdzie tam obfitsze pożywienie. Przewodzi w tej gromadce czupurny wróbel, odwieczny przyjaciel i domownik człowieka, szczególniej gdy zima przyciśnie, lub w ogrodach zarumienią się jagody, wiśnie i czereśnie, albo też kłosy zbożowe wypełnią się smacznem mleczkiem.



Pustułka.

Wszystkiem, co znajdzie w polu, dzieli się z człowiekiem, nie pytając go o zgodę, ale też, zbierając z drzew i roślin setki liszek, ślimaków i innych szkodliwych stworzeń, jest gorliwym pomocnikiem rolnika.

Kilkakrotnie czynione próby wytępienia

wróbli w różnych krajach wykazały ich pożyteczność: wszelkiego rodzaju owady i robaki poczyniły w polach i ogrodach takie spustoszenia, że sprowadzano wróble na gwałt z dalszych okolic, zgadzając się im ustępować trochę zboża i owoców za ich sumienną pracę. Często jednak padają one ofiarą drapieżnych ptaków; szczególniej krogulce tępią ich mnóstwo. Wo-



Krogulec i Wróbel.

góle można powiedzieć, iż szkody, zrządzane przez wróble, są bardzo drobne w porównaniu z korzyściami, jakie mamy z tych ptaków, wychowując bowiem każdego lata cztery pokolenia żarłocznego potomstwa, uwalniają nasze pola i ogrody od miljonów szkodników.

Do gromadki naszych wytrwałych przyjaciół należy między innemi dzierlatka, zwana także pośmieciuszką, ruchliwy ptaszek, o krótkim ogonku i z czubkiem na tyle głowy.

Tępi owady i robaki w wielkiej ilości przez ciepłą porę roku; w późnej jesieni lub zimie, objadłszy wszystkie nasionka z suchych chwastów polnych, zbliża się do mieszkań ludzkich, gdzie jednak pozostaje tylko do czasu stopnienia śniegów.



Dzierlatka.



Trznadel.

Widzimy też w niej trznadla ubarwionego żółto oprócz grzbietu, który jest szaro-bronzowy; samiczki są prawie szare,

z małą przymieszką żółtego koloru. W lecie mieszkają w zaroślach i ogrodach, żywiąc się owadami, zimą zaś, gdy już objedzą wszystkie nasionka z traw i chwastów, zbliżają się do mieszkań, gdzie się łatwo z widokiem ludzi oswajają. Od jesieni żyją gromadnie: obsiadłszy ogołocone z liści drzewo, drużyna taka świergocze wesoło, choć monotonnie, powtarzając: „cis, cis!" Natychmiast po stopnieniu śniegów porzucają podwórze i stodoły, aby w polu szukać pożywienia.

Każdego lata dwa razy wysiadują potomstwo, nie szukając na gniazdo miejsc odludnych, owszem, chętnie zajmują zawieszane dla nich na drzewach małe skrzynki, dające im osłonę podczas deszczu i wiatru. Te ostatnie chętnie zajmują i szpaki, ptaki ładne i pożyteczne: tępią one liszki, ślimaki, pędraki, chrabąszcze.

Najruchliwszym przy gromadnej zabawie oraz przy urządzaniu gniazda ptakiem okazuje się kawka: zawczasu upatruje sobie najlepsze miejsce, a jeśli znajduje się tam gotowe i zamieszkane gniazdo, potrafi je opanować podczas nieobecności właścicieli i wyrzucić się z niego już nie pozwoli.

Nie robią sobie one zbytniego zachodu z szanowaniem cudzej własności: porywają



Kawka.

sąsiadkom z gotowych lub budujących się gniazd różne materjały, zamiast ich sobie poszukać dalej. Lubią się osiedlać na miejscach wysokich: na wieżach kościelnych, pod dachami wysokich domów i t. p. Całemi gromadami nieraz obsiadując szczyty budowli, dokazują tam, gonią się i spychają wzajemnie, kracząc głośno i zabawnie: „kre, kre! jak jak!"

(D. n.)

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawińsk.

Ciąg dalszy

Krzątanina, ruch na każdym rogu, w każdym kąciku, lecz jednak o wiele przyjemniejszy i weselszy, niż w dużych miastach amerykańskiego wschodu — to był typowy nastrój Frisko.

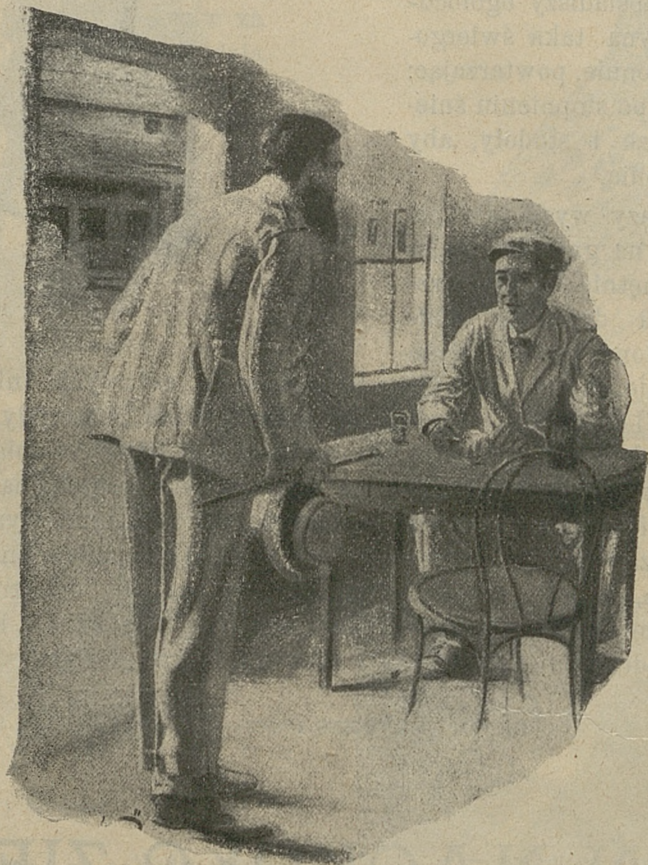
W pewnej niewielkiej restauracyjce na jednej z cichych bocznych ulic, siedział w tym czasie przy szklance wisky młody człowiek w podróżnem ubraniu, widocznie czekając na kogoś. Często spoglądał na zegarek, to znów na ulicę, lecz oczekiwany jakoś się nie zjawiał.

Jan Chmurzyński, nikt inny bowiem, jak on, był tym młodym człowiekiem — chciał już wstać, gdy wszedł jakiś elegancki pan z czarną brodą i zdejmując kapelusz, podszedł do Jana.

Nie poznałem cię i głos zmieniłeś zupełnie. Lecz co znaczy ta maskarada?

Monsard zaśmiał się wesoło i rzekł:

— Przedewszystkiem chciałem ci pokazać, że nie jestem byle jakim komedjan-



.... Czy mam zaszczyt witać pana Jana Chmurzyńskiego?...

— Czy mam zaszczyt widzieć przed sobą pana Jana Chmurzyńskiego?—spytał łamaną angielszczyzną.

Jan spojrzał zdziwiony.

— Tak, panie, takiem jest moje nazwisko — potwierdził. — Z kim mam przyjemność?

Przybyły, śmiejąc się, jednym ruchem ręki zerwał perukę i brodę.

— Monsard!—zawołał uradowany Jan.— Mój drogi, jesteś doskonałym aktorem.

tem. Następnie chcę ci oznajmić, że udało mi się wyśledzić kryjówkę i dalsze plany naszego wspólnego przyjaciela, Alfonsa Gonzalesa. Żart mój z przebraniem się musi być nam pomocnym.

— Z tym zamiarem więc wyszedłeś dziś rano z hotelu. Czy masz już jakieś wiadomości? Mów, jestem niezmiernie ciekawy. Możesz mówić o wszystkiem wyraźnie, jesteśmy tu jedynymi gośćmi, a gospodarz, zdaje się, jest głuchoniemy.

— Rzecz jest zupełnie prosta — zaczął Karol Monsard, siadając przy stole.—Przedewszystkiem chcę ci jednak powiedzieć najważniejszą wiadomość: Gonzales wyjeżdża do Honolulu. Za kilka godzin może go już nie być tutaj!

Chmurzyński uderzył pięścią w stół, aż szklanki zadzwoniły.

— Więc i tym razem wystrychnie nas na dudków? Ja myślę, że nie ma już celu poszukiwać go w dalszym ciągu.

— Przeciwnie — rzekł Monsard — wcale niezłe mamy widoki. Posłuchaj tylko. Dziś rano z pomocą pewnego znajomego, który zna meksykańczyka, udało mi się odnaleźć miejsce jego pobytu. Mianowicie zamieszkał on w lichym pensjonacie w chińskiej dzielnicy, cieszącej się złą opinją i którą chętnie każdy omija. Tajny policjant, któremu mój znajomy polecił śledzić Alfonsa, dowiedział się również, że zamówił on sobie bilet na parowiec „China", ktory po południu odchodzi do Honolulu. Ponieważ chciałem przekonać się o tem wszystkiem osobiście, postanowiłem odwiedzić ów pensjonat, lecz, aby nie dać się Gonzalesowi poznać, kupiłem sobie u fryzjera perukę i tę śliczną brodę. Właśnie myślę nad tem, czy to będzie dobrze, jeżeli sam udam się w tę podejrzaną część miasta. Może chcesz lepiej być blizko mnie; możesz iść za mną w pewnej odległości.

Jan znów się zapalił na myśl, że może nareszcie będzie mieć meksykańczyka w ręku, zerwał się więc natychmiast, aby towarzyszyć przyjacielowi.

* *

*

Pamiętne wielkie trzęsienie ziemi w San-Francisko niedawno zniszczyło Chińską dzielnicę i położyło kres labiryntowi bojących się światła dziennego gości, szynkom, w których potajemnie sprzedawano opjum i jaskiniom gry. Jednak pomimo, że rząd starał się nie dopuścić powstania nowej Chińskiej dzielnicy tego rodzaju, nie mógł jednak przeszkodzić grupowaniu kosookich Chińczyków w jednej części, z której w ciągu kilku lat powstało coś w rodzaju Chińskiej dzielnicy; wprawdzie nie jest ona tak niebezpieczna i odstraszająca, lecz w każdym razie nie można nazwać jej ozdobą skądinąd pięknego miasta.

Ta nowa dzielnica dla niewtajemniczonych wygląda zupełnie niewinnie, podejrzane jednak bardzo jest jej życie, za popozornie milczącemi murami. Jak przedtem tak i teraz zabiera tutaj opjum swoje ofiary, pomimo surowego zakazu wwożenia go, tutaj też wrogowie społeczeństwa knują najrozmaitsze spiski i zamachy na własność i bezpieczeństwo ludzkie.

W tym czasie, gdy Monsard, a za nim o 20 kroków Jan, zdążali do celu, ruch na ulicach był niewielki. Spotkali zaledwie kilku Chińczyków, którzy szli wolnym krokiem, co jest charakterystyczną cechą tej rasy i ocierali się w przejściu o europejczyków, obrzucając ich pozornie obojętnem, a jednak przenikliwem spojrzeniem.

Po długich poszukiwaniach znalazł wreszcie Monsard ów pensjonat niedaleko zatoki morskiej i zatrzymał się, podczas gdy Jan ukrył się za rogiem ulicy i oczekiwał na rezultat. Widział jak otworzono przyjacielowi drzwi i jak znikł w jakimś strasznym, brudnym domu.

Minuta mijała za minutą, a niepokój Jana wzrastał coraz bardziej. A może Monsardowi stało się coś złego? Może Gonzales i w tym domu ma swych sprzymierzeńców?

Młodzieńcowi zdawało się w tej chwili, że pomiędzy nawpół zamkniętemi okiennicami na pierwszem piętrze tego domu

ukazała się głowa ludzka, która go śledziła.

Nie mógł czekać dłużej, postanowił przekonać się, co się tam stało.

Szybkim krokiem pobiegł do podejrzanego domu. Właśnie chciał zastukać do drzwi, gdy nagle otworzyły się i ukazał się w nich Chińczyk.

— Pan Jan Chmurzyński?—spytał Chińczyk lichą angielszczyzną, zmuszając swą nieprzyjemną twarz do uśmiechu.

I gdy Jan dał odpowiedź twierdzącą, ciągnął dalej:

— Przyjaciel pański kazał zawołać pana.

Nie zastanawiając się ani chwili, Jan wszedł do sieni, a następnie udał się za Chińczykiem po schodach na pierwsze piętro; ciemny kurytarz, prowadzący do mieszkania, zastawiony był szafami i różnemi rupieciami.

Jan zwrócił się do idącego za nim Chińczyka i właśnie chciał spytać, gdzie jest jego przyjaciel — wtem z tyłu rzucił się ktoś na niego.

Dwaj mężczyźni, którzy prawdopodobnie ukryli się za którąś z szaf, schwycili Jana i skrępowali sznurami, następnie otworzyli drzwi i rzucili do pokoju, który natychmiast zamknęli na klucz.

Wszystko to stało się prędzej, niż Jan zdążył się zorjentować, co się stało. W ciemnym kurytarzu nie mógł poznać tych mężczyzn, lecz teraz wiedział, że jeden z nich był to meksykańczyk; poznał go, słysząc zdaleka, jak mówił ironicznym głosem:

— Nareszcie mam was, moi panowie! niech się wam tam zbyt nie przykrzy! Przykro mi bardzo, że nie mogę wam towarzyszyć, lecz mam przed sobą podróż, której odłożyć nie mogę!

Śmiejąc się głośno, Gonzales schodził ze schodów; potem Jan słyszał otwieranie i zamykanie bramy.

Zrozpaczony szarpnął swoje pęta i podszedł do drzwi. Lecz wszelkie usiłowania były daremne: pęta nie chciały się rozluźnić, drzwi stawiały również opór. Wyczerpany zaczął rozglądać się po swojem więzieniu i rozmyślać nad położeniem.

Jan znajdował się w zupełnie pustym pokoju; drzwi w ścianie, prowadzące widocznie do przedpokoju, były również zamknięte.

Gdy Jan podszedł do okna, przekonał się ku wielkiemu zdziwieniu, że dom ten graniczył bezpośrednio z wybrzeżem morskiem.

Przechodząc tą dzielnicą, nie zauważył, że tylne fronty domów ulicy wychodzą na zatokę, która tutaj zdala od portu, ożywiona była zaledwie kilkoma barkami i rybackiemi czółnami.

Jan próbował otworzyć okno zębami, aby zawołać rybaków, lecz napróżno; również nie udało mu się stłuc szyby w oknie, gdyż okno zaopatrzone było siatką drucianą.

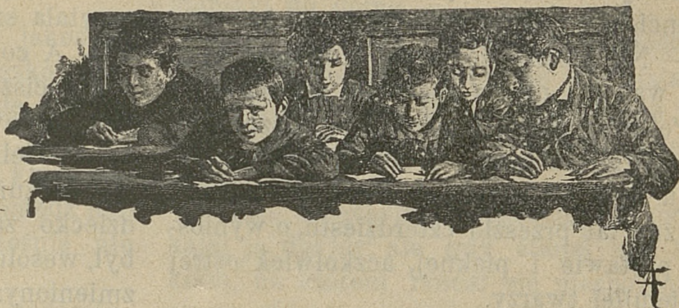
— Gdzie oni mogli ukryć Monsarda? — pytał siebie samego uwięziony.

Nie czekał długo na odpowiedź: za drzwiami, prowadzącemi do przedpokoju usłyszał szmer, przyłożył więc do drzwi ucho i słyszał szept przyjaciela:

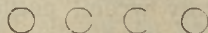
— Bądź cierpliwy! niedługo zerwę moje pęta, a wtedy otworzę drzwi, klucz tkwi w zamku.

D. c. n.





Marja Buyno.



KOLEDZY.

○ ○ ○ ○

Ciąg dalszy.

— Do domu! Do Matusi! prędzej!—szeptały jego zgorączkowane wargi, poczerniałe nagle, wyschłe.

— Jezus! Marja! — krzyknęła Franciszka, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła Michasia tak zmienionego, iż go zaledwie poznać mogła.

Na ten okrzyk wybiegła do przedpokoju pani Strzemboszowa, lecz ujrzawszy Michasia, cofnęla się przerażona, śmiertelnie pobladłszy.

— Co się stało?—wyszeptała z trudem.

— Mamo, Matusiu! Ja nie chcę! Już nie mogę! Nic nie pomogło... jeszcze gorzej... teraz już po wszystkiem.. ! — bełkotał jakimś nieswoim, twardym, przykrym głosem Michaś, schwycił się za głowę i padł nieprzytomny w ramiona matki.

— Po doktora!—krzyknęła pani Strzemboszowa, niosąc syna do pokoju.

Podczas gdy matka rozbierała pośpiesznie Michasia, układała na łóżku zrywającego się i rzucającego niespokojnie, zimnemi okładami na głowę starając się zmniejszyć żar, jaki z niej buchał, Franciszka biegała z ulicy na ulicę, szukając doktora.

Nie było to rzeczą łatwo; w Warszawie są pewne godziny dnia, kiedy doktorzy są na wizytach na mieście i wówczas absolutnie nie można znaleźć pomocy, co jest straszne, szczególnie, gdy zachodzi jakiś ciężki wypadek.

W jednem miejscu mówili, że doktór wróci za godzinę, ale musi zjeść obiad, a potem ma przyjęcie, w innem obiecywali przyjście za dwie lub trzy godziny, w niektórych odpowiadali wręcz, że doktór ma cały dzień tak szczelnie zapełniony, iż dziś przyjść nie może.

Nieszczęśliwa kobieta biegała zrozpaczona, pochłonięta myślą o niebezpiecznej chorobie, jaka najwidoczniej zapowiadała się u Michasia i okropnych chwilach, jakie przeżywać musiała jej pani, bezradnie siedząc przy łóżku ukochanego dziecka.

Zwątpiwszy wreszcie, by sama cośkolwiek poradzić mogła; znalazłszy się wypadkowo na ulicy, przy której mieszkał stryj Strzembosz, powzięła nagłą decyzję.

— Pójdę, poproszę o radę! Toć krewniacy, przecie muszą poratować—myślała, dzwoniąc energicznie do drzwi frontowych.

Otworzył jej lokaj, a zobaczywszy zdyszaną kobiecinę, okrytą chustką, zapytał szorstko:

— Czego to? I czemu od frontu dzwonicie?

Lecz Franciszka wykazała energję, jakiej nie spodziewał się wygalonowany lokaj po skromnej postaci

Silnym ruchem odepchnąwszy lokaja, weszła do przedpokoju, mówiąc:

— Nie mam czasu na szukanie kuchennego wejścia. Tu każda chwila jest droga. Przychodzę od pani Strzemboszowej i muszę się zaraz zobaczyć z panem!

Lokaj zawahał się na chwilę, ale gdy Franciszka ostrym głosem zawołała:

— No, proszę iść zaraz! Mówię, że sprawa ważna i niema czasu do stracenia!

Pokiwał głową i poszedł posłusznie. Po niedługiej stosunkowo chwili do przedpokoju wyszedł sam pan Strzembosz, mężczyzna lat przeszło czterdziestu, o wyniosłej postawie i pięknej, aczkolwiek ostrej i niemiłej twarzy.

— Czego to? – zapytał sucho.

Franciszka zapomniała na chwilę o celu swego przybycia; zdziwionemi lecz i rozbłysłemi nagłą radością oczami wpatrywała się w pana Strzembosza.

— Jezu mileńki! — wyszeptała wreszcie—takuteńki był nasz nieboszczyk pan, tyle tylko, że młodszy i — lepszą twarz miał!

To wyście u brata mego służyli? — z pewnem zainteresowaniem zapytał pan Strzembosz.

— Z panienką moją, Jadwinią, przyjełam i nie opuszczałam jej nigdy! Patrzychałam na jej szczęście i na nieszczęście! A teraz...!

Tu nagle przypomniała sobie o celu swego tu przyjścia i pochyliwszy się do kolan wyniosłego pana, prosić zaczęła.

— O, panie, ratujcie nas! Dajcie pomoc jaką!

Pan Strzembosz ściągnął niechętnie brwi.

— Więc po roku moja bratowa przypomniała sobie o mnie łaskawie, i przysyła mi swoją służącą z prośbą o pomoc... Hm, dziwnie to jakoś wygląda!

— Nie pani mnie przysłała, sama z własnej głowy przyszłam, bo tam ratunek konieczny, a ja nijak nie umiem sobie dać rady. O panie, pomóżcie! Nasz paniczek, nasz Michaś złocisty, słonko nasze jedyne, zachorował ciężko!

Przez uchylone drzwi od chwil paru wysuwała się zgrabna, starannie uczesana głowa młodej kobiety, która przysłuchiwała się pilnie słowom Franciszki, a teraz zapytała szybko:

— A co się stało chłopcu?

Franciszka zwróciła się w stronę pytającej z nową otuchą.

— Wielmożna pani, o, wielmożna pani! Wy zrozumiecie, co to jest, gdy jedyne dziecko zachoruje! Rano zdrów jeszcze był, wesolutki, ze szkoły wrócił nagle taki zmieniony: oczy jak węgle żarzące, twarz rozpalona, bredzi coś...!

Pani cofnęła się za drzwi, rzuciwszy słów kilka mężowi. Pan Strzembosz sięgnął do kieszeni.

— Bardzo, bardzo współczuję mojej bratowej... Wezwijcie zaraz doktora macie tu pieniądze—naturalnie, jako pożyczkę... toć bratowa przyjąć może! I trzeba, żebyście zaraz wyszli stąd, bo to może co zaraźliwego, szkarlatyna, broń Boże, a my mamy drobne dzieci w domu!

To mówiąc, położył na stole papierek 25 rublowy i zniknął z przedpokoju.

Franciszka zaniemówiła na chwilę, lecz zrozumiawszy wreszcie to, co się stało, krzyknęła w najwyższem oburzeniu.

— Dziękuję za pieniądze! Te się zawsze znajdą, gdy o życie dziecka chodzi! O inną pomoc prosiłam pana, rodzonego brata naszego nieboszczyka! Toć miejsce pana przy dziecku chorem, przy kobiecie nieszczęśliwej, samej jednej, bezradnej, zrozpaczonej! Bodajby Bóg pana nie pokarał za to, żeś swego obowiązku nie zrozumiał!

Łzy ciężkie, gorzkie i palące spływały po twarzy wiernej sługi, lecz nie dając się opanować rozpaczy, czując, że ona jedna została dziecku i biednej matce, ruszyła ku wyjściu, by dalej zacząć poszukiwania doktora.

W tej chwili ktoś położył rękę na jej ramieniu.

— Czego wam potrzeba? możebym ja mógł pomódz? — zapytał lokaj, który był niemym świadkiem całej tej sceny.

— Doktora znaleźć nie mogę, a tam niewiadomo co z dzieckiem!

— Chodźcie ze mną, może jakoś zaradzimy. Znam jednego staruszka doktora; zacności człowiek. Pójdzie natychmiast; byle go w domu zastać!

Franciszka biegła za lokajem, który nie szczędził swych nóg, chcąc dopomódz nieszczęśliwej kobiecie a jednocześnie nie narazić się swym państwu.

W bramie spostrzegli miłego staruszka, o pogodnej jasnej twarzy.

— Oto właśnie pan doktór!--rzekł lokaj.

Franciszkowa rzuciła się ku niemu, a doktór, zaledwie na nią spojrzał, rzekł tylko:

— Dobrze, dobrze! Zawołajcie dorożkę! Jedziemy! W drodze mi wszystko opowiecie.

Za chwilę Franciszka ze staruszkiem doktorem siedziała w dorożce.

— Bóg wam zapłać za pomoc! – krzyknęła ze szczerą wdzięcznością lokajowi, który kiwnąwszy jej głową z uśmiechem, śpieszył do domu.

Niewiele umiała Franciszka opowiedzieć doktorowi, bo sama niewiele wiedziała.

— Wiem tylko, że coś niedobrego będzie. Serce mi to mówi! – mówiła, ocierając łzy.

— No, zobaczymy, zobaczymy! — uspokajał ją doktór; ale gdy stanął nad łóżkiem, na którem rzucał się niespokojnie chory chłopiec, gdy spojrzał w jego zamglone, nieprzytomne oczy, spochmurniał nagle.

— Trzeba zaraz przynieść lodu! Tu jest recepta do apteki!—dawał rozporządzenia Franciszce, zaś przysłuchując się oderwanym wyrazom, wybiegającym ze spieczonych warg Michasia, wypytywał panią Strzemboszową:

— Czy chłopiec nie uderzył się w ostatnich dniach silnie w głowę? Czy nie upadł na wznak?

— Nic o tem nie wiem.

(D. c. n.)



Dusza przyrody.

Znany przyrodnik, Konrad Chmielewski, obdarzył młodzież, której jest szczerym przyjacielem, cennym upominkiem, w postaci książki p. t. „Dusza przyrody” zawierającej piękne listy ojca do syna. Dla zaznajomienia czytelników z charakterem tej książki, podajemy tu pierwszy list.

O wiośnie, miłości i młodości.

Synku mój drogi! Oddzielono mnie od Ciebie o wiorst półtora tysiąca przestrzeni, o półtoragodzinną różnicę południa, lecz szybciej od iskry telegraficznej, od światła słonecznego, biegnie do Ciebie ciągle myśl

moja. U mnie tutaj na tundry zimnych przestworzach jeszcze wiatry wichrzycielskie ostatnie ballady zimy nucą, lecz u Ciebie nad Wisłą już pewnie wiosenka nasza jasna! Nic mi o niej nie piszesz,—czy nie pukała ona jeszcze do Twego okienka, mój mały?.. Czy jej nie wyczuła Twoja duszyczka gorąca?.. Pamiętasz — akurat rok temu będzie, jak chodziliśmy razem w Aleje Jerozolimskie do nowobudującego się mostu i mówiliśmy o rzeczach poważnych, gdyś raptem schwycił mnie za rękę i z wybuchem radości zawołał: — „Tatku! wiosnę poczułem!" — Próbowałem Cię upewniać, że to pociągnęło tylko zapachem nawozu od przemokłych do cna pól za Saską Kępą, lecz Tyś gorąco obstawał przy swojem, że uderzył Cię w usta i piersi ciepły, parny wiew ogrzanego (Twoją zapewne tęsknotą) tchnienia wiosny.

I ja poczułem wiosnę — przez Ciebie synku, przez Twoje czucie tej żywej, dyszącej krwią serdeczną przestrzeni—przez Twoją duszę. I obu nam ni z tego ni z owego zrobiło się nagle dziwnie dobrze, po sztubacku wesoło, zaczęliśmy przyśpiewywać i śmiać się do siebie, skonstatowałeś uroczyście, że Twój ojciec nie jest jeszcze taki stary, za jakiego go podają te włosy siwe i zmarszczki obfite. I wracaliśmy zwolna ku śródmieściu, nad którem gorzała wysoko czerwona zorza zachodu, wracaliśmy w gwar, tumult, chrapliwy zgiełk miasta, z radosną wieścią we środku, z czarodziejską tajemnicą zaczynu, przez nas dostrzeżonego ukradkiem, pocichu, na uboczu. Rok temu to było... Może Ci synku dzisiaj zabrakło i wiosny i ojca?.. I wiosna wróci—i Tatko wróci, nie z nią razem — prawda — lecz za to z Twoją tęsknotą i z dumą własną z dzielnego syna, który tak się dobrze ucząc i zacnie prowadząc, godnie wypełnia swoje ludzkie obowiązki. Lecz ja Ci znów chcę mówić o wiośnie; zważ, że ja ją pierwszy czuję i Tobie obwieszczam—z takiej oddali.

Wiem, że Cię targa tęsknota, że szara osmętnica włóczy się po Twoim pokoiku—mój synu—wiem i czuję, że brak Ci ojca boleśnie.

Widzę w noc gorączkową Twoje skłębione w wichurach sny młodzieńcze, czuję każde gorętsze Twego pulsu uderzenie, słyszę każdy Twój jęk cichutki w stronę naszego twardego losu zaszemrany. I przeto Ci mówię „Sursum corda" — synku mój jedyny...

Idzie wiosna do Ciebie. Idzie ta cud dziewoja w krasie nieprześnionej, nieprzemarzonej rankiem o rozdzienku rozemglonym—i znowu złotowłosa i srebrnopucha zacznie sypać nam swemi garsteczkami pachnącemi senne, stulone w śnie kwiaty, wypuszczać ptastwo skrzydlate i budzić gędźbę owadzią. Idzie ten boski cud — wiosenka w wieńcu złotych zórz promiennych Zapuka cicho w drzwi chaty wieśniaczej, zadzwoni nieziemskim dźwiękiem w szybki zapylone okienka na poddaszu robotniczem, wśliznie się ciepłym, parnym wiewem w chłodne, przewilgłe suteryny, położy ciche dłonie z blaskami różanemi na krzyżu na rozdrożu dróg naszych, przejdzie serdeczna, przez dwór osędziały, tłum opuszczony, przez pałac nowomodny — zdziwiony i błędny.

Człowiek zszerszeniały, obrosły leniwym włosem zimy, na przednówku mizernym—ospały i gnuśny, bo na żywot bylejaki jeno baczący, powołany nagle zostanie do świadczenia przy zwoływaniu sygnaturką skowronka wszystkiego, co żywe, na świętą ofiarę dnia, życia, pracy—walki o prawa życia, na wielkie, w promieniach słonka rodzącego, gody istnienia i czucia. Zacznie mu dusza dygotać do cudotwórczego nabożeństwa przyrody, przy którem

ołtarzem jest jego ziemia rodzona, a ofiarą piękna cud prawdziwy. I wypatrzy ta dusza z kącika w omroczonym jeszcze szarością świtów tumie, czy kontynie, wszystkie szczegóły misterjów ducha twórczego wszechświata, a czego nie wypatrzy, to wyczuje, wyśni, wymodli dla siebie, dla swej tęsknoty, dla swego płakania.

Czy wszyscy jednak będziemy w taki serdeczny sposób wiosenkę witać?... Ileż spotka ją oczu zamglonych zużyciem i zimą snu ducha, ileż oczu zaszłych masianką apatyi, bielmem bezwładu lub durem stępienia duchowego?. Wiosna przyjdzie dla wszystkich i do wszystkich; ci co jej nie ujrzą i nie poznają, nie potrafią przez to samo uwolnić się ani na chwilę jaśniejszą ze straszliwego sąsiedztwa i władztwa śmierci. Nie istnieje ona dla tego, kto rozumie, że osią pracy natury jest miłość, obracająca bez przerwy wielki kołowrót kinematografu życia.

Właściwie mówiąc – dla tego, kto umie odczuwać wiosnę, niema śmierci; to, co się nią być wydaje, jest tylko wielką przemianą miłości. Po rodzicach dziedziczą ją dzieci, wnuki, jako prawo, jako podstawę życia i zachowania gatunku. Miłość rodzicielska w przyrodzie wiosny ku niedołężnej, niezgrabnej, ledwie żywej dziatwie jest jakimś uroczystym sterem świata. Miłość napełnia duszę mężtwem (najczulsi są najśmielsi; – kto kocha, waży się na wszystko), pomysłowością, inicjatywą, dowcipem życia, stwarza ewolucję, o której treść tak mnie się niedawno dopytywałeś. Miłość rodzicielska stwarza pracę dla najbliższych, poczucie obowiązku, mus zapełniania życia pracą i obowiązkiem, w nagrodę daje najsłodsze szczęście rodzinne. Wielką rzeczą jest duma rodzicielska ze zdrowego, szlachetnego dziedzictwa, zostawionego w spadku nowej wiośnie życia. To też słyszymy z gaju srebrzysty szczebiot maleńkiej ptaszyny: „co lepiej, czy być rodzicem wybitnej jednostki, czy samemu dążyć do takiej sławy"? Ja już nie mam żadnej wątpliwości – mój synu – i czekam, że ty mnie zupełnie upewnisz.

Wiosna jest boginką miłości. „Wiosna miłosna" mówi lud wiejski. Ta wiosna i ta miłość jest między nami, ona osładza mi wygnanie, a tobie samotność, robi to, że my — ojciec i syn — jedno dziś mamy pomyślenie, jedno czucie i jedną w sercach izawość. Ty jesteś moją wiosną i moją miłością, która mnie krzepi, wzmacnia i ku lepszej prowadzi przyszłości, — Tobie nasza wiosna ojczysta dać winna siłę i wdzięk do tej pieśni, którą ci dyktuje Twój największy nauczyciel — Mickiewicz —

„Młodości! — Ty nad poziomy wylatuj a okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikaj z końca do końca"...

. . . .

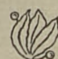
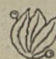
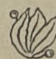
Wiosną, gdy gąszcz zieloności jeszcze nie zasłonił lasu i łąki, jest czas właśnie na objęcie okiem ogromu życia, które się rozłożyło na ziemi-karmicielce. Staraj się z niej skorzystać, abyś o ziemi i życiu nie miał takiego pojęcia, jak mucha, łażąca po obrazie, o tem, co ten obraz przedstawia. Podpatrz ciche wysiłki wątłej, drobnej roślinki, dążące do tego, aby utrzymać przy życiu i wszczepić tchnienie życia w zarodek swego pokolenia. Wszak to życie zewnętrzne u nas nigdy się właściwie nie kończy i przez cały rok okrągły u nas kwitnie gdziekolwiek jaka roślinka. W najsroższą zimę śnieżną ułożysz w lesie naszym zielony bukiet z borówki, trząski, żórawiny, jemioły, barwinka i tylu innych liściastych roślinek. Nie umiera nigdy pieśń, bo pofiukiwania strzyżyków, gilów, czyżów, sikorek, makolągiew, urągają nawet mrozom trzaska-

jącym. Świat i życie zdobywają one pogodą ducha, wiarą w jutro, w siły własne, w dobroć Bożą i przyjaźń poczciwą. Nie umiera nigdy czyn i praca, bo najmocniejszy sen zimowy nie zatrzymuje bezwzględnie krążenia soków, nie osłabia wypuszczania pączków, nie przerywa działalności komórek ssących. Żywie w przyrodzie pierwiastek twórczy mocy i rodzajności, który każe ptakom bez gniazda tulić się do siebie szeregiem w noc grudniową na gałązce olszyny i piórka stroszyć czubato, który krzepi mdlejącego z głodu wróbelka na ramie naszego okna, który zsyła sen krzepiący i kojący.

Sen wzmacnia, sen krzepi. Wysiłek energji dziennej życia równoważy w organizmie spoczynek nocny. Maszyna nawet musi odpoczywać, a cóż dopiero matka-przyroda, żywicielka i pracownica niestrudzona, rodząca na ziemi wszelakie życie i czucie przez poczęcie ze słonka świętego, które zimą jest takie omdlałe i gnuśne. Zresztą—może i jawą i treścią realnego bytu nie można się tak karmić bezustanku. Trzeba pośnić i pomarzyć czasem—choćby o chłodzie i głodzie.

No! ale i Tobie spać pora. Liczę, że listy moje odczytujesz sobie wieczorem po załatwieniu wszystkich Twoich obowiązków.

Jak ślicznie teraz wieczorem w Łazienkach! Pamiętasz?.. Cichy, dobry dziadunio Morfeusz puścił się na swój spacer codzienny wieczorny po sadzie babuni Flory i sypie z wielkiej brzostowej tabakiery prztyczkami maku sowicie po drodze. Wesołem „na zdrowie” zachichotał mu w żółtej gęstwinie zadumanych klonów wiatrek zbytny, co na przedwieczerz wyszedł poigrać jeszcze z modremi, jakgdyby opłukanemi do lazuru nieba falami stawu. Zorze pokładły się do snu w topieli wiszarów chmur nocnych, wiatrek w parku widać się krząta jeszcze nad szykowaniem sobie odpowiedniego barłogu, gdyż niepokój czyni wśród drzew rozwiewnych—a staw już zasnął smacznie i twarz ku niebu obrócił spokojną. Spać, spać już pora — serdeczna dziatwo przyrody. Śnij rzeczy słodkie, zjawy piękne— cuda duszy.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**. Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3